Lwów 19. Lipca. №85. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za na stęp- po 1½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

XI.

BANKRUT.

Już dobrze było z południa, gdy obaj przyjaciele ujrzeli wreszcie pierwsze chatki wsi rodzinnej. Pogrążeni w smutnych dumaniach siedzieli w milczeniu, a małe górskie koniki postępowały zwolna po stromej drodze. Przez cały ranek podróży tyle tylko z sobą mówili, ile potrzeba było, aby na każdy wypadek być przygotowanym. Kazimierz opowiedział Robertowi rozmowę z swoją siostrą, a Robert słuchał go z tak widocznem roztargnieniem, że przyjaciel jego uznał za rzecz stosowną na ten raz rozmowę zupełnie zawiesić.

Na widok szarej pałacu kolumnady, napełniło ich serca jakieś smutne, trwożliwe uczucie. Szybko wysiedli z bryczki i udali się do wnętrza pomieszkań.

Jakiż to widok przedstawił się ich oczom!

Ozdoby bronzowe od drzwi głównych były odarte lub połamane, jedna połowa podwoi była wyjęta z zawiasów i stała o podal. Wszędzie brud i śmiecie. Mury popękały a szare wapno poodpadało miejscami, odsłaniając czerwone, kruszące się cegły. Malowanie na ścianach spełzło, najpiękniejsze pejsaże zawapniono, lub zamazano gliną. Parkiety pełne dziur, popaczyły się i pogięły na różne strony. Na oknach stały w nieporządku różne potłuczone naczynia, a meble porozdzierane i poplamione świeciły tu i owdzie świetniejszą niegdyś barwą, dawniejszym przepychem! Tu kulał o trzech nogach piękny, cudnej rzeźby mahoniowy stoliczek, użyty dzisiaj do czyszczenia nożów. Na adamaszkowej kanapie leżała śliczna charcica, jedyna może żyjąca pamiątka lepszych czasów. Dzisiaj wychudła, straszna jak szkielet, zbierała rozrzucone po pokoju łachmany i ścieliła sobie wygodniejsze łożysko. Obok niej na brudnym taboreciku mruczał w kłębek zwiniony kotek o zapadłych bokach i policzkach, a chociaż w koło niego przechadzało się swobodnie stado myszy, rozpieszczony jednak i wychowany w dostatkach zapomniał biedny swojej natury i wolał raczej z głodu usychać, niżeli poniżyć się do wrodzonego mu przemysłu. Jako sztafaż tego smutnego obrazu kręcił się po tych pokojach stary sługa, w ubiorze na pół wykwintnym, na pół obdartym. Był to niegdyś świąteczny ubiór jego dni szczęśliwych, o jaskrawych, świecącym szychem haftowanych barwach i dużych pozłacanych guzikach, użyty dzisiaj za ubiór zwyczajny, wytarty i wylatany raził barwą i krojem, i czynił go podobnym do pajaca.

W jednym z ostatnich pokoi uderzyła ich ciemna i duszna atmosfera. Na łożu leżał starzec zgrzybiały, a Kazimierz musiał się dobrze w jego lica wpatrzyć, aby w nim swego ojca poznać, tak go zmieniły nieszczęścia i cierpienia. Niebył to już ów pan Kalasanty, z głową starannie poczernioną i ufryzowaną, z świeżym po uszy wystającym kołnierzykiem, w bronzowym fraku o złotych guzikach i botynkach lakierowanych, niebył to już pan parku i pałacu, którego każdy ruch nacechowany był dumą i wyniosłością, każde słowo dla niższych pogardliwe i uszczypliwe, była to ruina ciała i duszy, ruina całego życia tak marnie ubiegłego!

Na czole widać było resztki siwych włosów, suchych i rozczochranych, a twarz cała zdawała się być białem płótnem powleczona. Oczy wyglądały jak dwie dziury w tem płótnie przez gady wyżarte, które się wpiły gdzieś daleko aż na dno mózgu!...

O były tam prawdziwe gady, wypijające życia jego ostatek. Nad brzegiem grobu nie miał on żadnej lepszej pociechy ani ukojenia, tylko ten wyrzut, że żyjąc życiem samolubnem, i dogadzając swoim zachceniom, stracił całe mienie dziedziczne a dzieci w ubóstwie i nędzy zostawia. Cały ten blask wyniosłości pańskiej zmienił się teraz na pocisk szyderstwa i ironii, aby konającemu zawołać w drogę: *Vanitas vanitatum!...*

Kazimierz ukląkł przed łóżkiem i ucałował rękę ojca. Zagrało życie na płóciennej twarzy chorego, a dwoje oczu zabłysło ogniem.

— To ty Kazimierzu, mój synu, wymówił powoli chory, aha, przychodzisz po majątek!.. o ja niemam majątku, niemam ani złamanego szeląga!.. To wszystko już nie moje!.. A gdzie Kamila?.. A to ty Robert!.. prawda, prawda, pustkę po twoim ojcu zająłem do ogrodu, ale tego niema w dokumentach. Więc każesz ogród odmierzyć, a reszta to twoje...

Mowa chorego zatrwożyła obu. Kazimierz klęcząc ko-

ło łóżka, zakrył twarz rękami i głośno płakał. Robert zapłakał także na widok swojego dobrodzieja i na wspomnienie »pustki«.

— I cóż płaczecie, zawołał chory, o! tegom dawno nie widział... ale nie, widziałem wczoraj, jak tu płakała przedemną matka ośmiorga dzieci, której kapitalik był u mnie na procencie... O przeklęte procenta!.. Kazimierzu! strzeż się procentów!... a jak oni tu przyjdą, to sam się przekonasz!...

— Kto przyjdzie? zawołali oba razem.

— A któż przychodzi do umierającego bankruta?... Wierzyciele, lichwiarze!... Komornik, woźny, exekucja, licytacja!...

— Panie i dobrodzieju mój! przemówił Robert, który w tej chwili wcale o sobie nie myślał, nieprzypuszczaj tak czarnych myśli do głowy, jeszcze jest ratunek!...

— Ratunek, krzyknął chory, delacja, kompromis, restitucja.. o to już nie od ziemskich sędzi zależy!.. ziemscy sędziowie powiedzieli: bankrut, a Bóg dodał: Amen.

— O mój ojcze, wołał Kazimierz, uspokój się, są ludzie...

— Ludzie?... o wszyscy ludzie to lichwiarze!... Synu mój, pamiętaj abyś miał wszystko w sobie, nie pożyczaj nic od tego świata, bo świat to lichwiarz, on cię zrujnuje i do grobu wtrąci!...

— Przyszliśmy ojcze właśnie do ciebie z ręką pomocną.

— Z pomocą? przerwał chory, któż do bankruta w ostatniej godzinie z pomocą przychodzi? O miałem ja niegdyś przyjaciół, miałem afekta, gdzież są dzisiaj? gdzież ich serca otwarte? Lichwiarze tylko przy mnie! lichwiarze!

I w samej rzeczy poczęły się teraz napełniać puste przed chwilą pokoje. Żydzi, mieszczanie, ormianie, wdowy i sieroty, przychodziły koleją aby się dowiedzieć o stanie zdrowia chorego. Stosownie do wrażenia, jakie na nich czyniły różne wzajemne relacje, grupowały się po sali, koło okien, a byli nawet tacy, co śmiało koło łóżka stanęli, żądając od chorego powierzonych mu pieniędzy. Powoli rosnął krzyk i hałas, kłótnia i sprzeczki, aż nareszcie zrobiło się gwarno, jakby na jarmarku. Młody jakiś żydek z czerwoną głową, przedarł się z krzykiem przez zgromadzonych i w konwulsyjnych ruchach przedłożył na łóżko choremu jakiś skrypt do podpisania. Ach był to ostatni pana Kalasantego wexel, jeszcze niezaakceptowany!

Teraz dopiero wyszli dwaj przyjaciele z odurzenia, w jakie wprawiło ich tak niespodziewane najście dłużników. Kazimierz błysnął gniewnem okiem, ale Robert wziął go za rękę, prosząc go aby jemu załatwienie tej sprawy zostawił. Odprowadził żydka od łóżka, innym perswadował, obiecywał, a co najwięcej, przyrzekł im jak najsolenniej, że wszystkie długi co do grajcara będą wypłacone. Użył do tego i argumentów prawniczych, które na prędce mógł zebrać, i próśb i gróźb, i w końcu dokazał że cała czereda dłużników i lichwiarzy wyniosła się z komnaty umierającego i uszykowała się pod szarą kolumnadą, harkając się i kłócąc między sobą.

Najspokojniej między niemi stał wysoki żyd piegowaty, trzymając w ręku jakiś papier złożony. Od czasu do czasu zaglądał na drogę ku karczmie, przy której widać było bryczkę wypakowaną, i przechodzącego się opodal jegomościa.

— Widziałeś ich synu? zawołał chory, gdy się komnata wypróżniła, to są moi spadkobiercy, a ty... ostatni potomek mego imienia, ty mój synu, jesteś żebrakiem!.... Pójdziesz do ludzi i wyciągniesz rękę po jałmużnę, a oni rzekną: patrzcie: oto żebrze syn...

— Nie ojcze, ozwał się śród łez Kazimierz, niebędę żebrać, bom się nauczył pracować, Robert nauczył mnie pracować.

— Toż jeszcze mam w ostatniej chwili życia mego od ciebie usłyszeć! przerwał mu ojciec, a twarz jego płócienna nabiegła ostatnim rumieńcem, mam słyszeć, że mój potomek będzie zarabiał na kawałek chleba, jak prosty wyrobnik? Będzie służył komuś, przed kim rodzic jego czapki nie uchylił? Nie, nie, nie! tak dalece niemoże się poniżyć, raczej z głodu umrzej! a umrzesz godnym ojców twoich!...

Robert patrzał z goryczą na mówiącego, ale nic mu nieodpowiedział, bo przeczuwał, że spór o zdanie już jest dzisiaj za późny. Kazimierz niechciał także ranić serca ojcowskiego, a ostatnich słów jego słuchał z pokorą.

— Pracować? ciągnął dalej chory, alboż ty chłop?.. dla ciebie pracowali ojcowie twoi, a ty jesteś jedynym dziedzicem ich prac wiekopomnych! A jeśli dzisiejszy świat twego dziedzictwa nie uzna, jeśli ślepy będzie na twój klejnot herbowny, to pluń na ten świat karłów i dzieci, weź na siebie łachmany i kij żebraczy do ręki, i idź od dwora do dwora, a sama postać twoja będzie skargą historyi narodowej!...

Wysilony tak gwałtownem uczuciem upadł chory w poduszki i zamknął oczy. Kazimierz i Robert stali obok siebie w milczeniu, bo gorące słowa chorego zrobiły na nich dziwaczne wrażenie. Robertowi wydawała się ta mowa głosem umierającej przeszłości, która dumna swoich zasług niezaprzeczonych, nie wierzy, aby dla potomności nowych potrzeba zasług, że dawniejsze jej nie wystarczą!..

— Wierzaj mnie, Kazimierzu, ozwał się Robert, słowa twego ojca nie były bez prawdy. Są uczucia dziedziczne, mające swe źródło w zasługach i cnotach ojców naszych, uczucia te są fundamentem do wielkich i szlachetnych czynów, gdy dzieje takowych wymagają, albo są balsamem w dniach cierpienia i niedoli. Wyrosną jednak dziko w cierpki owoc dumy i próżności, jeśli na nich niezaszczepisz dobrego i szlachetnego owocu.

Po chwili otworzył chory oczy, i zdawał się być więcej przy siłach. Podniósł się na łóżku, spojrzał do koła okiem rozweselonem, a ujrzawszy Kazimierza rzekł do niego:

— Zapomniałem ci powiedzieć, że mówiłem o tobie księciu Kondeuszowi, gdym był w Paryżu. Jest to bardzo znakomity człowiek. Mieszkałem nawet naprzeciw jego hotelu... A gdybyś wiedział co to za wyborny żartowniś ten książę Jerzy, powiedział mnie, żem Mulata... a wiesz dla czego? no... matka twoja... ale czekajno, znowu mnie coś do głowy przyszło, gdym był u księcia Kondeusza poznałem markizę Melleville... była to piękność na dworze cesarza, sam książę Józef mówił razu jednego do mnie: przyjacielu jakiś ty szczęśliwy! Ale to głupstwo i nic.. Podczas kongresu byłem w Wiedniu, ach cóż tam były za świetne ekwipaże!.. jak drogo trzeba było w hotelu płacić!.. Dziesięć lat temu pamiętam, był bal w N..., moja żona miała najwytworniejszą toaletę. W tym samym roku odbyłem podróż do Lwowa czterma powozami, u wszystkich były konie pocztowe!... Na ulicach Lwowa stawali ludzie i patrzali się kto to jedzie? co za wielki pan!...

I tak dalej opowiadał chory z wesołą i śmiejącą się twarzą najważniejsze momenta swego życia, ale oko jego przybierało blask szklanny. On tracił rozum. Życie jego leżało przed nim jak szata stargana, z roskoszą obłąkańca sięgał po te szmaty, i ustrajał niemi nagość swoją. Bo też prawdziwe szmaty, porzucone na śmiecisko życia były owe wspomnienia, które w urywanych wygłaszał słowach. Widać, że żadnych głębszych wrażeń nie zaznał w życiu, którego celem był on sam, zapomniawszy nawet na przyszłość własnego swego rodu. On nie żył w dzieciach, ale żył dla siebie, dzieci były u niego zbytnim, pasożytnym polipem! W tych słowach urywanych zawierała się cała historia jego życia. Była to generalna spowiedź grzesznika, ale bez rozgrzeszenia!

Ojciec Kazimierza już nie żył.

Komnata napełniła się kredytorami. Powstał hałas krzyk i zamieszanie. Poczęły znikać pojedyncze meble. Rozdzierano je między siebie. Przez ciżbę kłócących przedarł się wysoki, piegowaty żyd i podał Kazimierzowi dwa pisma. Kazimierz rzucił pisma na ziemię. Podjął je Robert, i czytał w pierwszem:

Mon cher!

Jeszcze do tej chwili niemogłam pułkownika do wdania się w nasze interesa nakłonić. Jest to dziwaczny staruszek, z resztą i rzecz jest delikatna. Muszę z nim pojechać do pobliskich wód mineralnych, a na wszelki wypadek posełam pana Hirszmana z potrzebną plenipotencją w mojem imieniu.

Toute à vous.
C. B.

Robert rozwinął drugi papier, była to plenipotencja, podpisana przez Kamilę. Szczęśliwy Kazimierz! on nic nie słyszał i nie widział!

Z karczmy przyszedł jegomość otyły i począł pieczętować.

Robert wyprowadził Kazimierza za rękę i oglądał się za łóżkiem, gdzieby go mógł położyć, ale na żadnem łóżku nie było już pościeli. Położył go więc na słomie, a sam zajął się przygotowaniem do pogrzebu.

Kilka tygodni minęło po owej katastrofie, ziemia zamknęła się nad świeżym grobem, a w parku i pałacu nastąpiła jakaś straszna cisza. Była to cisza na pełnem morzu, niemniej straszna żeglarzom, jak najgwałtowniejsza burza.

Wprawdzie niebyło kredytorów i lichwiarza, ale za to rezydował w pałacu jakiś suchy, z czerwoną głową pisarczyk, którego wszyscy panem administratorem nazywali. Tem większa jednak czynność panowała po salonach, gdzie sporządzano potrzebne do licytacji dokumenta. Kazimierz i Robert mieszkali w izdebce oficyn, czekając bliskiego końca. Od Kamili żadnej nie było wiadomości. Chcąc jednak ostatecznie coś postanowić, uradzili obaj przyjaciele, że Robert miał się udać do wód mineralnych, pięć mil oddalonych i tamże z Kamilą się naradzić. Kazimierz pozostał w domu.

Ale zaledwie Robert odjechał, uczuł Kazimierz niewymowną tęsknotę, chodził po zarosłych ścieżkach parku jak błędny, smucił go i gniewał każdy pająk, motający swobodnie sieć swoją w pustych, opuszczonych arkadach. Każda wypadająca z mury cegła zdawała się mówić do niego: Wszystko grób i zniszczenie!

Jeszcze tego samego dnia kazał staremu służącemu osiodłać konia, jedyną uratowaną spuściznę, a dosiadłszy go, popędził ku górom.

Stary służący pokręcił głową, a odmawiając głośno: „wieczne odpoczywanie” wziął się do naprawy podartej liberyi.

Milę od pałacu, na najwyższej górze skalistej, były ruiny starego zamczyska. Widać było po kolosalnej grubości murów, że fundator zakładał budowę na wieczność, że imieniu swemu chciał tym sposobem nadać siedlisko, któreby urągało się burzom i czasowi. Tak się jednak nie stało. Bryły skał i ciosy olbrzymie wykruszyły się jak piasek rzeczny, okopy zapadły się i zarosły chwastem, a na szczątkach dawnej wielkości, w szczelinach popękanych murów osiadły liczne gniazda sów i puhaczy. Pamięć imienia wielkiego fundatora zaginęła, bo jej nie odświeżały czyny potomków, a tradycje ludu pogmatwały prawdę historyczną z bajkami tysiąca i jednej nocy.

Owóż mówiono o tym zamku najrozmaitsze rzeczy, opisywano jego pana to jako tyrana, to jako pustelnika, to dziwaka, to znowu mówiono, że pobożna tego zamku pani, wystawiła kaplicę na rozstajnej drodze, aby ludzie za jakieś ciężkie grzechy dziedziczne Boga przepraszali. Mówiono także, że w końcu pan tego zamku został zakonnikiem, a pani zakonnicą i opowiadano wiele rzeczy o ich świątobliwości. Zamek opuszczony służył opryszkom za kryjówkę, a nawet razu jednego wydobyły władze z jego lochów całe warsztaty mennicze.

Dzisiaj było w tych ruinach cicho i spokojnie, cicho i spokojnie rozsypywały się jego mury, a na wklęsłych okopach przybywało coraz więcej gruzów i chwastów.

Odwracając się jednak od ruin i gruzów i patrząc wprost przed siebie, rośnie nam serce na widok krainy karpackiej. Sine, oddalone szczyty wystrzeliły pod sam błękit nieba, a pod niemi w najdziwaczniejszych zygzakach narysowały się pasma gór, cieniując się barwą i światłem.

Po prawej ręce, na pochyłości najbliższej góry, pozawisały chatki wieśniacze, gdzieniegdzie jaśniej bieli się kościółek lub skromny domek szlachcica. Zielona smuga otacza tę pochyłość, a na jej wierzchołku ciemnieje las dębowy. Tam gdzieś daleko, w trzeciej czy czwartej dolinie, gdzieś za pasmem gór, majaczeją białe kominy miasteczka, a za niem, jeszcze dalej, wije się sina wstęga wody coraz błękitniejsza, coraz przezroczystsza.

Na gruzach baszty siedział Kazimierzi łzawem okiem patrzał w świat przed siebie. Serce jego nie biło radośnie na widok cudów natury, martwe i zimne było, jak te głazy o które się opierał. On nie patrzał w otwartą książkę natury okiem naiwnej, dziecinnej rozkoszy, on szukał w niej symboliki czarnych swych uczuć, które w tej chwili jego sercem miotały.

Patrząc na te niwy, w świat przeszły, umarły, widział dziwne do siebie podobieństwo. Jak ten gruz odleciał z wielkiej pysznej budowy i walał się między chwastem, tak on, ostatni rodziny potomek, odłamał się od owej potęgi społecznej, jaką tworzyły mienie i tradycja. Dzisiaj, bez mienia, widzi przed sobą nowy, wiecznie odmładniający się świat pracy, podobny do widoku natury i chatek w dali rozrzuconych, z których nie jedna powstała z gruzu upadającego zamczyska.

Lecz świat ten rozdzielały przepaście i góry niedostępne......

Śród takich rozmyślań stoczyła się nie jedna łza na omszały kamień, nie jedno słowo uleciało mimo woli w świat bez echa, słowo które najczęściej wszystkie tajnie serca otwiera, gdy nagle ołudzony szelestem spostrzegł, że miał świadka swoich wzruszeń tajemnych.

A był to świadek niebezpieczny.

Zaledwie kilka kroków od niego, oparta o wystający róg baszty, z dużą przed okiem perspektywą, stała cudnej urody amazonka, trzymając biały szpicrut w ręku. Zdawało się Kazimierzowi, że ładna amazonka zamiast w szkła na niego patrzy. Zarumienił się cały, a nie chcąc okazać że jest dzikim i bez taktu, przystąpił do niej.

Amazonka miała na głowie mały czarny kapelusik z strusiem piórem, związany pod szyją czarną wstążką. Związanie to zaokrąglało i tak okrągłe jej rysy a biała jej twarz wyglądała cudownie w tych ramkach, po za któremi wiły się długie, złotem połyskujące pierścienie włosów. Aksamitna, ciemno szafirowa kapotka obciskała wysmukłą jej kibić, a z pod niej spływała na ziemię długa, żółta suknia. W postawie jej było tyle fantazyi, w jej oku tyle blasku, w najmniejszym jej ruchu tyle wdzięku, że zbliżywszy się do niej Kazimierz, w największym był ambarasie a nawet jeszcze mocniej się zarumienił.

(C. d. n.)

WIECZÓR U BRZÓZKI.

Słońce kona za górami,
Po nad niwy mgły,
A u brzegu nad falami
Tęskna brzózka drzy.

— Nie drzyj brzózko tak żałośnie,
Tutaj błogo ci,
W koło ciebie kwiecie rośnie,
W górze gwiazdka tli.

Fala do stóp ci się słania,
A od brzasku dnia
Ciągłe ptasząt świegotania,
Ciągle wietrzyk gra.

O samotna gdybyś stała
Na pastwę dla burz,
Może, może brzózka mała
Nie żyłabyś już.

O! samotnie marzyć trudno!
Życie cierpkim snem:
Niby ludno, a odludno
Na przestworzu tem.

Wybłysnęła gwiazdka złota,
Brzózka smutnie drzy,
W sercu mojem tkwi tęsknota,
W myślach dzikie skry.

Chciałbym stworzyć serca życie!...
Brzózka tonie w mgle,
Gwiazdki błyszczą na błękicie
I jeziora tle.

Mieczysław R...

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

II.

W LUBIENIU.

(Ciąg dalszy.)

Wybiegł z Szpakowskim do zamówionej już stancyi, i tam dzięki fryzyerowi i lokajowi przedzierzgnął się wnet w miejskiego eleganta do wszelkich konkurów gotowego. Przez ten czas Szpakowski rozpowiadał:

— Panna Emilia Rakowska, przyjemna i młoda jeszcze, średniego wzrostu, szatynka, z myszką na prawej stronie w okolicy nosa, posag niezawodny, 50.000 ryńskich w monecie brzęczącej, bo jest wieś ładna, kamienica we Lwowie, ojca niema, i dwoje tylko dzieci. To istne terno dla ciebie. Kruczkiewicz nie żąda tylko 5 procent od ukończonego interesu, to prawdziwa bagatela; lecz wymówił sobie gotówką. Głównie niezapomnij tego, że on już pannie Emilii mówił, żeś ty w niej już dawno po uszy zakochany. Widywałeś ją naturalnie na wałach, balach, na wysokim zamku, w kościele, i gdzie tylko człowiek człowieka zdybać i widzieć może, a nawet i we śnie. Ty to już potrafisz ubrać i oddać con amore, z wariantami jakie ci podadzą okoliczności, i anioł opiekujący się posagowymi konkurentami.

W półgodziny toczył się po bruku lwowskim powóz niosący w sobie pana Felixa i jego nadzieje.

— Ale, ale, omal nie zapomniałem. O piątej czekać będę na ciebie w kawiarni teatralnej z szanownym Herszem Brilantem. Zajedź przed kawiarnię powozem, to większy zrobi efekt, i do większych ofiar kieszeniowych skłoni zacnego Hersza.

Pan Felix odurzony nadzieją posagową i oddany w tej mierze marzeniom bez końca, zapomniał jakoś powiedzieć przyjacielowi, że już wytumanił od siostry 500 złr.

Przy drzwiach Kruczkiewicza rozeszli się przyjaciele. Pan Felix postępował z wolna po schodach, i układał wszystkie *loca communia*, z jakiemi wystąpi naprzeciw nieznanego mu komornika. Lecz pan komornik pomięszał mu wszystkie szyki. Ledwie bowiem się drzwi otworzyły, a pan Kruczkiewicz okiem wprawnem, bo prawniczem, dostrzegł i obejrzał naszego bohatera, rzucił się zaraz na niego obcesowo, i niedawszy mu przyjść do słowa, przyłożył do wonnych dandysa ust swoje szorstkie a dziubate policzki.

— Jak się masz kochany panie Felixie?

— To jest... tak... ale ja nie mam.... wycedził pan Felix zbity nieco z konceptu.

— Zapominasz o dawnych przyjaciołach, krzyczał dalej komornik, a krzyczał głosem godnym dawnej palestry, do indukowania spraw przywykłej. Moja żona będzie się cieszyć niezmiernie, dodał i pociągnął za sobą przestraszonego Felixa, który na prawdę powiedziawszy zgłupiał do reszty.

Minąwszy kancelarją, weszli do salonu, bogato i wytwornie przystrojonego.

Dwie kobiet siedziało na kanapie. Starsza mogła mieć około lat pięćdziesięciu z twarzą nie wiele znaczącą, przykładała ciagle do ucha rękę w trąbkę zwiniętą. Młodsza posiadająca wedle własnego twierdzenia, — które ma zwykle więcej wagi od wszelkich metryk — lat trzydzieści, z twarzą ruchliwą, przebiegłą i zalotną, rozpowiadała coś tam starszej głosem, którego by jej mógł pozazdrościć stróż nocny i własny mąż. Skoro ujrzała wbiegającego męża do salonu z naszym bohaterem, zerwała się młodsza pani, i zgłupiałego, za nim gębe otworzył, gdyby tuszem prysznicowskim oblała strumieniem słów.

— A witajże kochany sąsiedzie! godzisz się to zapominać dobrych przyjaciół, i tak rzadko bywać we Lwowie. Zakopałeś się na wsi i gospodarujesz, to bardzo pięknie i pożytecznie, ale przez to mógłbyś częściej odwidzać stolicę, i nas, którzy cię jak brata kochamy.

— Przedstawiam pani naszego sąsiada, pana Felixa Chromackiego, zawołanego gospodarza z Podola; dodała komornikowa zwrócona do starszej jejmości.

Nasz bohater przeniesiony nagle z Podgórza karpackiego na Podole, z przyjaciela już awansowany na sąsiada, zapomniał do reszty języka w gębie, i kłaniał się tylko na wszystkie strony, zabity do reszty świdrującym wzrokiem pani Rakowskiej, strzelającym nań z dwóch burych oczów, osadzonych na twarzy czerwono - kameryzowanej, a strojnej po bokach w dwa, w trąbkę zwinięte kulaki.

— Siadaj pan tu koło pani Rakowskiej, zapraszała gospodyni; a cichszym i naturalniejszym dodała głosem:

— Rozpowiadaj jej a dużo o wołach, gnoju, gorzelni, braże i innych szczegółach gospodarstwa, prowadzonego na wielką skalę.

Pan Felix, jakby w gorącej łaźni skąpany, zaczerwienił się po uszy, i brzdąknął coś tam pod nosem ni w pięć ni w dziewięć, zwrócony do pani Rakowskiej, która nadaremnie przykładała oba kułaki do uszów, aby coś usłyszeć. Lecz to mu wcale nie zaszkodziło. Przeciwnie nawet pani Rakowska wzięła to za dowód niewinnej skromności i pomyślała w duszy.

— „To właśnie mąż dla mojej Milki, wszystko z nim będzie można zrobić.»

— Mów że pan głośniej, ozwała się zniecierpliwiona gospodyni, ona głucha, nie słyszy babina.

— Głucha! głucha! powtórzył i odetchnął biedny, spocony Felunio.

Kruczkiewicz pojął całe położenie, i jak arcymistrz w sztuce puszczania bąków kuglarskich wprowadził rozmowę gładziuteńko na pole gospodarki. Pan Felix odsapnął tymczasem, wnet odzyskał straconą przytomność, i rzucił

się z całym zapałem na to pole. Kłamał więc jakby na jarmarku, z wymową i całą żarliwością ekonoma zacierał po kilkaset korcy dziennie, na olbrzymiej maszynie z Anglii sprowadzonej, tysiące wołów besarabskich pędził do Ołomuńca, siał, żął, zbierał, młócił, a mianowicie przedawał pszenicę całemi łasztami w Gdańsku i Odessie. Jednem słowem wskoczył cały na pegaza wiejskich przechwałek, za którym pegaz naszych poetów nie godzien książek do szkoły nosić, gdy się znowu otworzyły drzwi boczne, i weszła dwudziesto-kilko letnia dziewczyna, cery smaglawej, z brodawką w kształcie myszki na twarzy, a oczami, z ktorych strzelał wyraz ciekawy, budujący, pożądliwy, wyraz panny długi już czas wyglądającej ideału *uosobionego* w postaci męża. Chuda, blada, deszczkowata, przypominała nieco wyschniętą szczypkę. Ona wyschła z tęsknoty za wymarzonem szczęściem domowego gniazda.

— Jakże to dobrze, jakże to pięknie! żeś przyszła do nas, kochana Milciu! zawołala gospodyni. Prezentuję ci pana Felixa Chromackiego.

Ciemno pomarańczowy rumieniec wypłynął na twarz panny Emilii. Nastąpiły dygi, ukłony i krząkania, będące w takim razie hieroglifem mowy, niezrozumianej najczęściej. I byłoby się to przeciągnęło w nudną nieskończonośc, gdyby nie oboje Kruczkiewicze, którym wcale nie chciało się tracić czasu na darmo.

Gdy więc sam Kruczkiewicz rozłożył jakieś fascykuły i zajął łatwowierną mamunię prawnemi interesami, sama komornikowa bawiła młodą parę pokazywaniem rozmaitych kaktusów i oleandrów, rozstawionych po oknach salonu. Z prawdziwie romantycznem mistrzowstwem, wiodła ona parę dla siebie przeznaczoną do świątyni miłości i himenu przez godny jej przedsionek Flory. I tak pomału przechodząc z róży do gwoździka, a z gwoździka do pelargonii, weszła niby przypadkiem do drugiego pokoju.

Tu nagle zmienił się kierunek jej rozmowy, zmieniła się twarz jej i postawa. Z wyrazem w oku i głosie, godnym deszczek teatralnych, przemówiła do Emilii, porwawszy ją za rękę.

— Moja Milciu! na co nam te dlugie przygotowawcze mowy, na co udanie! O to stoi przed tobą pan Felix, o którym tyle kroć ci mówiłam, który kocha cię nad życie, a kocha już dawno, lecz dotąd brakowało mu sposobności, i śmiałości może, by wynurzył przed tobą gorące i zapalczywe swe uczucia. Bądź mu litościwa Milciu! i niech ci serce, to nasze kobiece serce, podyktuje co mu masz powiedzieć.

Twarz panny Emilii nabrała barwy mocno wypalonej cegły. Spuściła oczy i drżącym wyrzekła głosem:

— Ależ ja nieznam... ja nie wiem...

— Czyliż nie dosyć, że cię kocha, i jak kocha! zawołała komornikowa, przewracając oczyma w sposób nader tragiczny, kocha nad życie, dla ciebie siedzi we Lwowie, a nie na wsi, jakto słyszałaś przed chwilą w rozmowie jego z twa matką.

Kolej zarumienienia się przyszła na pana Felixa. Panna Emilia już się bowiem więcej zarumienić nie mogła, wyczerpawszy wszystkie najciemniejsze tej barwy odcienia, na żadnej malarskiej nie zdybywane palecie.

— Więc pani słyszałaś.... naszą rozmowę?

— Słyszała! słyszała! odrzekła komornikowa. Na co tu w bawełnę obwijać. Ja jestem kobietą otwartego charakteru. Nie taiłam przed Emilką, że pan dla niej marnujesz czas, zdrowie i pieniądze, i włóczysz się za nią po Lwowie, by choć raz w dzień ujrzeć ideał swych marzeń. Zaniedbujesz majątek tak znaczny, i oboje nieporozumielibyście się jeszcze za wiek cały, gdyby nie ja, a tymczasem śmielszy jaki mieszczanin porwałby ubóstwianą.

(C. d. n.)

O potrzebie pisma czasowego dla duchowieństwa katolickiego.

Odezwa niniejsza niestósowną może wydawać się będzie w kolumnach pisma, literaturze świeckiej poświęconego. Cóż począć? Jeżeli w każdym innym zawodzie wolno odezwać się do publiczności celem obopólnego porozumienia lub wyjawienia potrzeb, a do tego potrzeb umysłowych, czemużby nie można podnieść głosu o rzeczy, prawie nigdy, albo zdaleka tylko tkniętej, a jednak bardzo ważnej. Mam tutaj literaturę kościelną, rozumie się polską na myśli.

Nie wchodzę, jak dalece duchowieństwo polskie w zawodzie swoim prace umysłowe posunęło, jakie pomniki słowa bożego pismem ujętego w historyi literatury ojczystej zostawiło? Pytania bowiem te należałoby obszerniejszemu zostawić rozbiorowi; ale sądzę, że literatura kościelna kraju naszego nie bardzo się bogato rozwija, może też między innemi i z tej przyczyny, iż nam duchownym na wszelkim literackiem pośrednictwie t. j. na czasopiśmie kościelnem zbywa. W czterech dyecezyach krajowych, (Lwowskiej i Przemyskiej obydwu obrządków, Krakowskiej i Tarnowskiej, przemilczając inne po za kordonem) w czterech mówię dyecezyach, niezdobyć się na pismo wiążące życie umysłowo-literackie tak licznego zastępu ludzi umiejętnie kształconych, ludzi mających światłem swem obdzielić wcale nie oświeconą warstwę społeczeństwa katolickiego; jest rzeczą prawdziwie godną zastanowienia!.....

Żalić się nie powinniśmy na brak uzdatnionych kapłanów, skoro wychodzą pieśni i książki do nabożeństwa, kazania się drukują, a i głębsze rozprawki naukowe pojawiać się poczynają. Trudności jakie w innych pismach pokonywane być muszą, łatwiejby się usunęły w powsta-

niu i utrzymaniu czasopisma kościelnego. Tam nadaje wytrwałość i praca mężów prywatnych podstawę pismu; tu opierałoby się także przedsięwzięcie na powadze najwyższej władzy dyecezalnej, której jedno słowo stałoby się wolą, jedno życzenie, życzeniem wszystkich. Mieliśmy przykład z *Przyjaciela chrześćjańskiej prawdy*, wydawanego za rządów kościelnych wiekopomnego ks. biskupa Michała Korczyńskiego.

Użyteczność pisma periodycznego uzna zapewne każdy, ktokolwiek pragnie, aby życie jego umysłowo naukowe zasilanem bywało. Ileby samo duchowieństwo do własnego kształcenia, do obopólnego w sprawach kościelnych porozumienia, sposobności znalazło, dosyć będzie na wspomnieniu. Gdzież stosowniej rozbierane i ocenione być mogą dziełka kaznodziejskie i innej treści religijnej, jeżeli nie w podobnem czasopismie?

Nikt bowiem niezaprzeczy, że, jakkolwiek dzieła religijno-moralne i religijno-naukowe słusznej podlegają cenzurze kościelnej; nie wszystkie jednak zniosą umiejętną krytykę. Doświadczenie uczy, jak wielu niewczesnem wystąpieniem z pismami swemi lub miernemi płodami, ojczystej literatury wcale nie zbogacili. Lepsza w tym razie skromność niż popędliwa odwaga. Z tego względu niechaj nam nasz drugi Skarga, ś. p. biskup Woronicz za przykład służy... Nie idzie ztąd, aby odstręczać duchownych od wydawania na widok publiczny prac swoich pisemnych, owszem tego pragniemy; atoli to co z druku wychodzi, niechaj nosi na sobie cechę ukończonej całości. Otóż pismo periodyczne miałoby pod tym względem i to że tak powiem pedagogiczne zadanie, kierowania talentami młodych pisarzy; krytycznem wystąpieniem niedozwalać mierności, stawać obok płodów rzetelną wartość i zasługę mających. Nadto możeby tą drogą i oświata religijno moralna prędzej trafiła do serc całej niby wyższej klasy społeczeństwa katolickiego, gdzie jej (z wyjątkiem oczywiście) brakuje. Możeby przystępniejsze stało się pismo periodyczne, już rozmaitością swoją pociągająć, niż głębokie dzieło n. p. Nikolasa lub Hr. de Maistre?. Powiadamy bowiem prawdę nawiasem, że dzieła duchownej treści między świeckiemi arcymało mają czytelników, a jak ich mieć mają, kiedy i świeckie dzienniki na księgowstręt utyskują. Ale wracam do rzeczy.

Pisma duchowne periodyczne i wpływałyby wiele i na oświatę ludu wiejskiego. Od dawna słyszeć się dają narzekania na szczupłe zasoby oświaty między ludem prostym, z pomiędzy wielu innemi i z tej przyczyny, że brak na pismach ludowych, jego pojęciu przystępnych. Sądzę że pisma ludowe w tenczas skuteczniejsze będą, jeżeli wśród duchowieństwa wyrobi się ognisko literackie, ciepłem swem pisma ludowe ogrzewające, co obok szkólek wiejskich, wszędzie i należycie uorganizowanych, celowi odpowiedzieć powinno. W tem co się tutaj powiedziało, nie ma nic nowego, ani też nie jest pisane w tym celu, aby przedmiot ten wszechstronnie wyczerpać, bo czuję iż obszerniej i gruntowniej można było w tym względzie rozprawiać, co bieglejszym w piórze zostawiam, ale jestto po prostu życzenie publicznie wyjawione, życzenie większej części kapłanów, czujących zarówno ze mną wszelkie niedostatki owych duchowi czasu odpowiednich środków tak do utrzymania świętych a wielkich celów kościoła, bo do utwierdzenia królestwa Bożego na ziemi i uświęcenia prawowiernych; jako też do podniesienia zasług i chwały duchowieństwa polskiego. Jeżeli historja powszechnej literatury polskiej i naszą kościelną do swojego wciela skarbca, jeżeli na pismach religijnych 16. wieku piękność języka naszego powstała, i tenże język macierzyńskiem mlekiem kościoła był wykarmiony; jeżeli w narodowym języku nasi Apologeci: Skarga i Wujek wiarę katolicką z wybujałego chwastu odszczepieństwa oczyszczali, jeżeli kaznodziejstwo polskie wzorami swemi, jakimi obaj wyż wspomnieni kaznodzieje i ich następcy późniejsi (Linowski, Karpowicz, Woronicz i wielu innych) czy to w obliczu kościoła, czy samej literatury poszczycić się może; dlaczegożby i dzisiaj, kiedy żniwo w winnicy pańskiej zarówno jak i dawniej jest wielkie, nie mogli powstać męże, którzyby przy łasce Boga i usilności pracy, przyjaciołom jak i nieprzyjaciołom kościoła dowieść zdołali że umiejętność święta nietylko do maluczkich zniżyć się, ich nauczyć i pocieszyć potrafi, ale w obec mądrości a wielkości światowej, w całym majestacie i potędze występuje, odpierając i gromiąc je, jeżeli ją w służbę zaciągnąć chcą, bratając się z niemi i świeżego blasku dodając jeżeli sprawę Boga popierają. Oby tedy ten głos z zaciszy wiejskiej pochodzący, znalazł chętne przyjęcie i pobłażanie u tych, którzy pod ręką mając wszelkie środki jako to: biblioteki publiczne, archiwa kapitulne, księgarnie i drukarnie, imać się mogą pracy pożytecznej dla ogółu, a liczyć na poparcie reszty duchowieństwa po kraju rozrzuconego.

J. K.

Rozmaitość.

* Cesarzewicz Jego Mość Karol Ferdynand wraz z Dostojną Małżonką swą dzisiaj opuszczają Lwów. Pobytu swojego we Lwowie Dostojna Arcyksiężna miłą pamiątkę zostawiła w uczynku dobroczynnym. Zmarły przed kilką dniami kapitan placu, p. Koch, mąż dla szczególnej dobroci i szlachetności umysłu, od tych co go znali szanowany i lubiony, pozostawił wdowę i dziewięcioro drobnych sierót, których dalszym losem Arcyksiężna gorliwie się zajęła.

* W pierwszej połowie sierpnia ma opuście Lwów i Galicją bawiący tutaj już rok drugi Cesarzewicz Jego Mość Karol Ludwik.

* **Umowa przyjacielska w Krymie.** Dwóch majtków, Anglik i Irlandczyk, umówili się aby jeden drugiemu dopomógł, jeźli któremu z nich podczas bitwy jakie nieszczęście się wydarzy, W krótce urwała kula działowa Anglikowi nogę, a Irlandczyk stósownie

do umowy wziął rannego towarzysza na barki, aby go z placu bitwy wynieść. Zaledwie kilka kroków był uczynił, gdy druga kula rannemu głowę urwała. Irlandczyk jednak nie spostrzegł tego przy wrzawie bitwy i szedł spokojnie dalej. Spostrzega go oficer. „Gdzie mierzysz z nim," zapyta. „Do lekarza" była odpowiedź. „Do lekarza?" krzyknął zdziwiony oficer, czyś oszalał — wszak on bez głowy." Gdy to Irlandczyk usłyszał, rzucił trupa na ziemię, a przypatrując mu się z uwagą zawołał: „Dalibóg że prawda, a on mi mówił, że tylko nogę utracił."

* Pomimo znacznych wydatków z powodu oświetlenia przy Cesarskiem strzelaniu poniesionych, Towarzystwo strzeleckie oddało do funduszu pożyczki dla rzemieślników dochodu czystego 202 złr. monetą konwencyjną.

* Od powstania cholery we Lwowie od 9. Czerwca do 16. lipca zachorowało osób 1647, a umarło 838.

Przyjechali od dnia 17. do 18. Lipca do Lwowa.

PP. Wierzbicki Feliks, z Zaszkowa. Badeni Aleksander hr. ze Złoczowa. Gidlewicz Jan, z Narola. Winnicki Jan, z Doliny.

PP. Komorowski Adam hr. z Konostop. Starzyński Leopold hr. z Mogielnicy. Bystrzanowski Leopold, z Makuniowa. Rzewuski Konstanty, z Gołogór.

Wyjechali od dnia 17. do 18. Lipca ze Lwowa.

PP. Rychalski Juliusz, do Derewlan. Polanowski Aleksander, do Moszkowa.

PP. Rodziewicz Antoni, do Stanisławowa. Gottleb Antoni, do Liwcza. Torosiewicz Jan, do Połtwi. Golejewski Józef hr., do Hryniowiec. Lewicki Kajetan hr. do Chorostkowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 18. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$122\frac{3}{4}$	Pożyczka 5%	$77\frac{7}{8}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$79\frac{1}{2}$	Akcye banku		983
Londyn za 1 funt szterl.,	11 53	Kolej północna		2010
Medyolan za 300 lirów	$121\frac{1}{2}$	Obl. ind.		$67\frac{7}{8}$
Paryż za 300 franków .	$142\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loterya		$101\frac{1}{2}$
Agio duk. ces. . . .	27	Pożyczka narodowa . .		$82\frac{15}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	zł. 5	kr. 38	zł. 5	kr 42
Dukat cesarski	« 5	» 42	» 5	» 44
Półimperyał zł. rosyjski	« 9	« 44	» 9	» 48
Rubel srebrny rosyjski	» 1	« 52	« 1	» 54
Talar pruski	» 1	« 48	» 1	« 50
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	» 1	« 22	» 1	» 23
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	» 93	« 20	93	» 40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	69	» 20	» 60	« 50
5 proc. pożyczka narodowa	83	» —	» 84	» —

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**